

PAWEŁ STAŚKO.

JEDNA GODZINA

1.

Redaktor Goleń wracał z teatru. Zwykłą koleją rzeczy pospieszał skrzętnie do redakcji, by jeszcze przed północą oddać mentrampażowi recenzję z odegranej premiery do porannego numeru. Szedł, układając w myśli wyroczne zdania o sztuce, zaletach jej i wadach, o grze aktorskiej, a wreszcie dekoracjach.

Szło mu to szybko i bez trudu, szkic na feljeton o 128 wierszach miał już prawie gotowy, pracując bowiem przez lat dwadzieścia cztery w tym głównie dziale zdobył niezwykłą łatwość pióra i odpowiednią rutynę, rutynę za trzy kwartały — jubileuszową.

A szło mu to tem łatwiej, że zdań nie musiał tworzyć świeżo, miał ich wystarczający zapas w swoim spichlerzu, zdań, co już nie jedną przeszły próbę, nie jedno wyśpiewały zwycięstwo, pochwalny hymn, albo sromotną klęskę; miał zapas słów i określeń, erudycyjnych porównań, zwrotów, nawet idei. Wystarczyło tylko otworzyć drzwi naościelę i zejść w głąb jak do teatralnej rekwizytorni, by w jednej chwili wiedzieć, co czemu mniej więcej odpowiada.

Zresztą w dzisiejszym potopie scenicznych sztuk co kto nowego mógł napisać? Wszystko to już po stokroć razy napisano, skrytykowano, przenicowano, ubrano w lineizyjny plagiat, przechrzono, odgrzano w tyglu i po raz setny pokazano w odprasowanej szacie.

Tak zawsze myślał redaktor Goleń, nie bez ufności w swoje krytyczne stanowisko, zapominając, że i on również się powtarza, z tym większym chyba nonsensem, że bez twórczego wysiłku. A jednak trzeba widocznie było coś pisać, plużyć w owym kieracie, jak gdyby życie opierało się na tym właśnie nonsense i wymagało tego koniecznie.

Alisł nad tem redaktor Goleń nie zastanawiał się poważnie. Uważał, że praca jego to redaktorski „zawód”, jak wszystkie inne wkroczone w tryby życia, idący z pokoleń w pokolenia, poprosi jakiś nałóg dający duszy rozrywkę, a ciału chleb. Niekiedy jednak miewał znacznie górniesze pojęcie o swoim stanowisku. Mienił się poniekąd za męża, który helmani szlucę, wytycza jej kierunek i jest jak gdyby drogowym skazem. Nic w tem dziwnego, wszak nawet szewc czy kuśnierz okrywa swe rzemiosło w szatę wyniosłej dumy w tem świętem przekonaniu, że gdyby nie on, to — cała ludzkość chodziłaby bez futek, albo bosy. Jest w tem pojęciu niezaprzeczona racja i objaw niepróżnującej przecieży myśli.

Goleń znalazłszy się przy redakcyjnym biurku, starem i poplamionem atramentem, z grudkami zastygłej stearyny, laku i kleju na przypuszczalnie zielonem suknie, zabrał się mechanicznie do niecierplącej zwłoki pracy. Przy innych biurkach i stolikach, o takiej samej redakcyjnej patynie, nie było już nikogo. W sali było względnie spokojnie, tylko gdzieś w dole, gdzie znajdowała się drukarnia, pracowały rotacyjne maszyny, przyprowadzając mury w głuche drżenie i czyniąc tępy szum w powietrzu, przepelnionem ciężkim zapachem drukarskiego czernidła.

Redaktor pisał, nie wypuszczając z ust papierosa, osadzonego w długiej wiśniowej cygarniczce. Co chwilkę tylko przysławał, wciągając w płuca haust dymu i porządkując ciskające się pod pióro zdania. Raz tylko powstał z miejsca, podszedł do szafy mieszczącej w sobie zastęp potężnych tomów leksikonu, przeszukał w którymś, jak alchemik, poczem wsunawszy go z powrotem wrócił do biurka.

Praca szła dalej w szybkim tempie. W niecałe trzy kwadranse sprawozdanie z teatru było gotowe. Tyle a tyle wierszy o sztuce i autorskiej zdolności, w tem kilka uwag i porównań, tyle przejściowych wierszy do gry aktorskiej, wiedział kogo należy podnieść, kogo z lekka napomnieć i pouczyć, którą aktorkę ubrać w kwiały i wyszukaną toaletę, o kim wspomnieć z nadzieją czy przekasem, poczem następowała mniej więcej określona ilość wierszy pod adresem reżysera, dekoracji, a wreszcie kierownictwa teatru i publiczności i — jakby cyrklem odmierzył wyznaczone na ten cel miejsce. Ostałni wiersz stanowił podpis recenzenta. Pod sprawozdaniem

z premiery redaktor Goleń podpisywał się pełnem nazwiskiem, przy komunikatach zaś i mniejszych wzmiankach używał kryptonimu, jak: P. (Prot) G., p. g., G., zależnie od nastroju, choć to na jedno wychodziło; nazwisko bowiem, czy początkowe litery były dla czytelników dostatecznie już znane.

Po skończonej czynności redaktor zadzwonił do drukarni i oddawszy rękopis począł przechadzać się po sali, jak człowiek który wykonał obowiązki i zażywa wewnętrznego spokoju.

Po chwili otworzył okno na ulicę i spoglądał na niebo: było dziwnie błękitne i wyiskrzane gwiazdami, kwiećniowe.

Przez jakiś czas patrzył się w górę i coś, jakby tęsknota czy rozczulenie, śladło na jego szczupłym, z wyrazem wycieńczenia obliczu. Ściągnął ku oczom nadmiernie krzaczaste brwi, że niemal nakrył niemi półwornie grube szkła okularów, sięgając, widać, myślą i w te rozpostarte przestrzenie gwiaździstych niebios.

Z ulic dochodziły coraz już rzadsze turkoty kół dorożkarskich i jakby lekkie, przedzierzgające się przez dymny opar miasta — tchnienia wiosennej nocy.

Ściabujące one były, niczem kwiatuszki wychylające się z pod śniegu, zrodzone z paków śródmiejskich drzew, które zbudziło słońce, jednak niewymownie wnikliwie i odczute z powietrza, wieszczące cicho a wielmożnie, że — idzie wiosna...

Szły one, zda się, z góry i kędyś zdala — od wiejskich pól, rodziły się wśród murów, podwórzy z krzewami bżów i jaśminów, na balkonach kamienic obramowanych podłużnemi, malowanymi na zielono pączkami z wleżą pod ziarnka ziemią, szły zewsząd, niby radosny zew obudzonego życia, co się ocknęło w słońcu, przedarło się poprzez grudną powłokę, idąc ku ciepłym blaskom — słońskione, zasobne w świeże moce, gotujące się do branki wszechistnienia na wielkie promiennie-kwiećne Święto...

Iścił się w przyrodzie prawieczny cud odrodzin, wielki, jak jego tajemnica i jako ona dobroliwy.

Ano, mamy już wiosnę — szepnął redaktor sam do siebie, pijąc nocne powietrze. I naraż, jak gdyby uczuł skłonność do myśli, co się czeplają barw wiosennych niby motyle... Podszedł ten, niewiedzieć skąd zrodzony, począł go skłaniać ku tym tchnieniom — by skroś nie płynąć tęskliwym duchem kędyś za miasto, w szerokie pola i łąki, które oblewał dziewiczy uśmiech trawek i pękających kwieci, co już poczęcie śniły szczęścia, ulewnej woni i słonecznianych pieśni...

Czuł, że tam kędyś za murami siwarza się nowa doba, że pachnie świeżo zaorana ziemia i ruch się wszczyna niepojęty... Że w sercu ziarn i bylinowych kłaczy coś się odbywa potajemnie, wsiając z atomów i opylków i dźwiga się do życia... Że głos się jakiś niesie światem i nawołuje i obudza... wciąż, coraz przestrzennie i owocniej, coraz potężniej...

Atoli jak gdyby dusza jego za tępa była, by móc się wnurzyć w oną zjawę, jakby za gruba warstwa miejskiego pyłu okryła ją i znieczuliła na ten pajęczy dotyk tchnień idących — bowiem otrząsnął się coby prędzej z chwilowego wrażenia i zostawiając otwarte okno, powrócił znów do biurka.

Stojąc, brał po kolei nagromadzone świeże dzienniki, przeglądał je pobieżnie, co chwila zakreślał czerwonym ołówkiem jakaś złowioną wieść czy artykuł i, nim dobiegła północ, mafe-ryał do pracy na dzień następny miał już prawie gotowy i przyłożony ciężarem szeroko rozkraczonych nożyc.

Po tej czynności zwrócił się jeszcze w stronę okna, całkiem bezwiednie, pchnięty jakowąś podświadomą siłą, jakby pierwotne tchnienie pozostawiło na jego zakurzonej duszy magnetyczny bakcyl o niezmożonej mocy, poczem leniwie, jak człek znudzony wielce, gotował się do wyjścia.

Przekroczywszy schody dwóch pięter, wydostał się z zaduchu na ulicę spocony i ledwie mogąc ichu złapać. Znow uderzyła na niego ta cicha i bblsamiczna fala, lecz już nie myślał skąd się niesie. Prosto, starym zwyczajem, skierował kroki swe ku kawiarni. Miał ją tuż prawie obok. Wszedł do zadymionej i pełnej gwaru sali, kłaniając się i odpowiadając na ukłony, częściej dość zimno, kilkakrotnie łaskawie, niby potentat jakiś, wreszcie dołarł wolnoludko do upróżnionego stolika i usiadł przy nim, zabierając się do oczyszczenia irchową skórą zamglonych okularów. I tu spotkało go jeszcze wiele ukło-

nów od pobliskiego stolika, otoczonego wieńcem przez najliczniejsze, mieszanej płci towarzysztwo. Redaktor odpowiedział kilkakrotnem skłineniem głowy, lustrując w jednej chwili wszystkich siedzących. W odkłonach tych, o niejednakim kącie pochyleń głowy, była niema odpowiedź na zapytania tamtych oczu, co się zwracały ku Goleniowi, jak na wyrocznię.

Była to aktorska socyeta i wykonawcy dziejszej premiery. Ludzie ci, przeważnie młodzi, niektórzy przedwcześnie łysiejący, bywali tu stałymi gośćmi o różnej porze dnia, zaś „po teatrze” pojawiali się in gremio w swoim dość kruchozespolonym cerclu. Trójkątem życiowych ich wędrówek były: kawiarnia, teatr i ostatecznie — dom, gdy nadchodziła spóźniona pora i zamykano ostatnie nocne lokale. Kawiarnia była ich stołem do śniadań (obiady jadał w pierwszorzędnym restauracyach, zależnie od terminu pobierania gaży) wieczery, a często nawet tu się uczono ról. Czarną kawę, tę ukochaną truciznę wszechartystów, pili przy każdej sposobności, czy to siedząc beczynnie, czy przeszukując skrzętnie teatralne opinie miejscowej prasy. Te poza oklaskami i czarną kawą były jedyną ich podniętą, celem i — wszystkim. Dzielili się na wielkich, gwiazdy, ludzi talentu, doskonałych rzemieślników i nieokreślone miernoty. „Wielcy” zazwyczaj chadzali ludem, niby bogowie, pomniejsi zaś grupowali się według swych szczebli w śladka. Kawiarnia wreszcie była dla nich rodzajem schadzki, miejscem, gdzie obmawiano drugich i siebie, wiedziono spory za kulisami rozpoczęte i gdzie, poza sceną teatru, „schodzili między ludzi” i swoich wielbicieli. Lekko duszna cyganeria i brać przemila — aktorzy...

Redaktor Goleń, posiliwszy swe ciało kawiarnianą porcją angielskiego rozbefu, zapijał również czarną kawą. Pałac wyborczego papierosa deklekował się dymem, przyczem rzucał po sali obojętne spojrzenia. Najczęściej jednak kierował oczy na aktorki, młode, szykowne, wydekoltowane, jak Galatce, śmiałe jak pliszki, na których jeszcze „ciężki zawód” nie śladł uwładem, co jeszcze nie zmiało ich kształtów i spieć nie zdołał tych rumieńców, jakie wyniosły z swoich domów. Choć już je szminka wyplerała i karmin krwawił usta — patrzył się w twarz o dużych łukach brwi, które barwiczka nadmiernie przyczerniła, choć pewnie były bujne i miękkie jak aksamit — nic prócz sztuczności im nie dając i podejrzanym ponęć.

Niektóre, zda się, miały jeszcze na sobie ślady młoczących pocałunków, inne odmiennie, miłosną żądzą wypalone, słoneczną wiarą w życie i piękne niby kwiat, nim go sześoga nie dosięgnie — jeśli nie ujdzie różnym nurtom, choć już je blask opylli i przeszły pierwszą, kolejną w życiu próbę.

Czasem to ta, to owa z cór Melpomeny czy Thalii rzuciła ku Goleniowi wymowne oczy, w których palily się i prośba i napół skryty błysk wyzwania, coś, coby pragnęło mieć w nim plewę, jeśli nie za cenę talentu, to uśmiechu... to za ofiarę chociażby — flirtu, wreszcie miłości sezonowej — byle tylko nie zbywał jej wzmiankami, lecz pisał o niej hymny, mienił ją gwiazdą — przepłynawszy jednakże po jego twarzy i postaci szczupłej, wyblakłej i bez tężyzny życia, cofała je z dreszczem bojaźni i niesmaku, z podszeptem w duchu, że za daleko pobiegła jej zaślepiona myśl i że pokusa ta bez istotnego blasku i powabu.

A jednak co jakiś czas wracały zaszle one oczy, płocze i niezdecydowane, niby zwierciadła wewnętrznych rozpatrywań, głodne chimery-sławy, podpatrywały tajemnie jego kościste lico, zryte zmarszczkami, to ręce o dziwnie wyrazistych żyłach, jak ciemne sznurki, wmiawiały w siebie jakoweś chytre przekonania, młodość się wdając weń wprowadzać, bez wiary wprawdzie, lecz naślepo, pod wpływem jakichś władnych pobudek — i te nareszcie przytłumiał od-ruch czci osobistej, gwałtowna niechęć i jakby lęk tajemny.

Po każdej takiej wędrówce zdały się chwilowo zapominać o blaskach sławy i pokusie, czuć się wolniejsze, jaśniejsze w swoim gronie, gonić po sali raz dumnie to zaczepnie, śmiejąc i ponętnie, po kobiecemu. Świat się uśmiechał do nich i wabił na swój sposób, stary, nie szczędząc złudy i podniety, niefrasobliwy — gdzie zawiedzie —

Goleń znał już takie rozdrożne oczy, rozumiał ich rozterkę, te błyskotliwe race, i — bolał. Bolał nie nad ich walką koszmarną, podobną